

Dążenie człowieka do wejścia w inny wymiar: żagle, latanie, nury

Żyjemy sobie na ziemi. Po niej chodzimy. Ona nas żywi. Żyjemy jednak otoczeni żywiołami: wodą, wiatrem. Boję się wody i wiatru. Czuję przed nimi respekt. Ale z drugiej strony, tak jak dżungla, żywioły te przyciągają mnie, fascynują. Z perspektywy czasu nie postrzegam udziału w katastrofie tsunami jako czegoś fatalnego. Było to dla mnie raczej wydarzenie odkrywcze. Poznałem niszczący żywioł, jakim jest woda. Żeglując po mazurach widzimy zawsze ląd. Nawet, gdy wiatr wieje silny, zawsze dotrzemy jakoś tam do lądu. Kiedyś na Darginie złapał mnie sztorm, zerwał lewe wanty i nie pozwolił zrobić zwrotu przez sztag, bym mógł wpłynąć do spokojniejszego Sztynortu. Efektem było sztormowanie w szuwały, w których zacumowałem jacht i z których uciekłem przed burzą na ląd brnąc przez trzcinowiska. Gdy w tym samym roku na Mamrach silny wiatr i duża fala rozwały mi ster, poradziłem sobie sterując silnikiem. – Szczęśliwie dotarłem do Węgorzewa. O wiele większym wyzwaniem jest żeglowanie na otwartym morzu.

Kiedy najlepiej smakuje piwo?

Wiosną 2007 r. popłynąłem na rejs „w trudnych warunkach” do Londynu i Amsterdamu. Wyptywając za ostatnie śluzy w Holandii na pełne morze najwięksi twardziele zaczęli haftować: oto wzburzone morze, wietrzysko oraz silne pływy powaliły całą załogę na nogi. Tajemnicza jest pełnia księżyca na wzburzonym morzu, gdy dwuosobowa wachta pilnuje kursu. Wachta nad ranem jest surowa, zimna i wietrzna. Gdy na jachcie żeglarzy jest mało, wachty są dwie i zmieniają się co dwie godziny. Najbardziej przyjemny moment to zmiana wachty i przekazanie steru kolegom. Schodzimy wtedy wymarznęci i zmoczeni pod pokład. Przed nami dwie godziny zbawiennego snu. Zakłócony zostaje on po 120 minutach szturchnięciem kolegi i słowami: „teraz Wasza kolej!”.

Oto kilka scenek i wydarzeń oraz przeżyć z rejsu:

- Halsowanie na Tamizie - między kontenerowcami, promami, żelastwem wystającym z wody, przęsłami mostów; kilkadziesiąt mil walki z wiatrem, prądem, radiowego opieprzania przez zarząd portu (halsować na Tamizie nie wolno);
- ST. Catherine Docks przy Tower Bridge w centrum Londynu – port jachtowy pierwsza klasa – polskie mariny - bierzcie z nich przykład,
- Cumowanie w coffee shop w Amsterdamie; autopilot, hasz, piwo i kurs na Workum o świcie - tak kończy się każdy dobry rejs,
- Walka w londyńskiej tawernie – najlepiej smakuje piwo po paru dniach spędzonych na falującym morzu. Najlepiej, jeśli to jest siedem piw, a następnie sześć szklaneczek whisky i na koniec resztki danskiej (choroba morska to nic przy tym, co człowiek przeżywa nazajutrz),
- Sześciu wygłodniałych facetów przez tydzień na jachcie = rozdygotana dwudziestoletnia współpasażerka po półtoragodzinnym wysłuchiowaniu w samolocie "prawd o życiu" od dwóch uczestników rejsu. Nie pamiętam, co do niej mówiliśmy. Wiem tylko, że pod koniec rejsu groziła nam, że wezwie policję, poinformowała załogę, że boi się z nami lądować w Polsce.

Morze zaskakuje

Kilka miesięcy później popłynąłem na rejs na Lofoty. – Wysepki położone za kołem polarnym na wodach norweskich. Miało być zimno, surowo. Było upalnie, można było spać na pokładzie, korzystać z orzeźwiającej kąpieli w małych fiordach. Norwegia zaskakuje. Latem przez całą białą noc trwają w małych rybackich wioseczkach zabawy. Nie przywykli do słońca przez całą dobę, wędrowaliśmy po okolicznych pagórkach w środku nocy. Żeglując w dzień podziwialiśmy orki. A miało być surowo i sztormowo. Morze płata figle.

Diabeł pod wodą

Kilka lat temu przeżywałem taki okres w życiu, że co kilka miesięcy, wręcz na każdej wyprawie, musiałem zajrzeć pod wodę.

Życie podwodne fascynuje: Inny świat, inne światło, kolory, tajemnicze dźwięki przychodzące niewiadomo skąd. Tajemnicze ryby i inne podwodne stwory, falujące koralowe ogrody.

Zapomnieć nie można jednak, że jesteśmy w wodzie, a woda to żywioł. Po raz pierwszy przekonałem się o tym podczas nauki nurkowania. Na własnej skórze przeżyłem to wiele razy. Pierwszy raz wiele lat temu w Egipcie gdy z paroma przygodnymi płetwonurkami zanurzyliśmy się w urokliwych wodach Ras Mohammed. Nurkując pamiętamy o tym, że mamy 200 bar powietrza, i że przy 100 barach musimy dać przewodnikowi znać o tym, by mógł zaplanować na czas wynurzenie. Wiemy też o tym, że przy 50 barach rozpoczynamy bezpieczną procedurę wynurzania. Nur był przedni: Barrakudy, rekiny, zatręśnienie maleńkich i ogromnych kolorowych ryb. Tajemnicze ogrody koralowe. Mając 100 bar pomyślałem sobie, że nie będę zgrywał mięczaka i zawracał całej grupki płetwonurków. Przewodnikowi dałem znać, że mam 100 bar, dopiero gdy faktycznie miałem 60 bar, a więc w momencie, gdy za chwile trzeba się było wynurzać. Odpowiedział mi, że jest ok., i że mamy jeszcze dużo czasu. Po kilku chwilach pokazał nam wszystkim pięknego rekina leoparciego leżącego dziesięć metrów pod nami. Wszyscy ruszyli w dół, ja stwierdziłem, że mam już tylko 30-40 bar i że powinienem już być w okolicach powierzchni. Gdy wszyscy podziwiali drapieżnika, mi było coraz cieplej. Za kilka minut miało mi zabraknąć powietrza, a tu ponad 20m do powierzchni. W pewnym momencie, gdy podpłynął do mnie przewodnik, nie wytrzymałem, złapałem go za płetwę i pokazałem, że zostało mi tylko 30 bar. On zdecydowanym ruchem podał mi swoje powietrze i zainicjował procedurę awaryjnego wynurzania. Gdy robiliśmy przerwę dekompresyjną na 5 metrach pod wodą, podpłynął drugi „amator” i uderzając otwartą dłoń w szyję pokazał nam, że on właśnie zużył całe powietrze. Nasz przewodnik zdziwił się mocno, oddał mi moje resztki powietrza, kazał się wynurzać, natomiast sam pomógł wychodzić na powierzchnię rozkojarzonemu koledze. Na pokładzie zrobił po obiedzie naradę i mocnymi słowami napiętnował dwóch nieodpowiedzialnych świrów.

Śladami Ikara

Latem 2008 roku oczekując na przyjsie na świat syna postanowiłem nigdzie nie jechać. Samą pracą człowiek jednak nie żyje i podczas czerwcowej sobotniej ogniskowej imprezy zwierzyłem się koledze, że zawsze fascynowało mnie latanie. On natychmiast odpowiedział mi: „Wiesz, że mnie też...”. Decyzja zapadła szybko. W niedzielny ranek zadzwoniliśmy na katowicki Muchowiec do wydziału wyszkolenia i umówiliśmy się tego samego dnia na spotkanie. Jadąc na lotnisko zadzwoniłem do dwóch kolegów, których firmy obsługują i oczywiście też się napalili. Od lipca zaczęliśmy szkolenie teoretyczne, a od września po

zdanych z sukcesem wszystkich egzaminach w ULC⁵ byłem już w powietrzu. Nie wiem jeszcze, czy kupię sobie samolot, nie wiem jeszcze, czy będę latał samodzielnie w każdych warunkach. Pamiętam bowiem, jak raz przy lądowaniu boczny wiatr zniósł mnie na las. Pamiętam ostrą turbulencję, gdy w piękne jesienne przedpołudnie wleciałem w silne prądy konwekcyjne nad lasem. Z drugiej strony mam w Radziejach (www.major.tm.pl/radzieje) piękne lądowisko, samolot skraca tragicznie długą drogę na Mazury i w inne fantastyczne zakątki kraju i sąsiednich krain. Świat z powietrza jest inny. O tym jak fascynujące i tajemnicze jest latanie wiedział już da Vinci i autorzy opowieści o Dadału i Ikarze. Pożyjemy-zobaczymy.

5 Urząd Lotnictwa Cywilnego. Instytucja zniechęcona przez adeptów lotnictwa, ze względu na bardzo trudne egzaminy. Moim zdaniem instytucja ta zapewnia jednak to, że w powietrzu nie ma idiotów. Bariera intelektualna, by latać, jest na szczęście dość spora. W kursie uczestniczyli z nami miejscowi by(!)znesmeni. Jeden z nich, zanim kurs się skończył, miał już kupiony samolot za milion złotych! Inny palant, dwa lata temu rozpoczął kurs pilotażu, stał się dealerem jednego z producentów samolotów i ... do dzisiaj nie zdał pomyślnie egzaminów w ULC.